I 1.240.239

LECH PIWOWAR

# RAJ W NUDNYM ZAJEŹDZIE

Poznań 1932 — Wydawnictwo
Dwutygodnika Literackiego

2.50/50

LECH PIWOWAR

# RAJ W NUDNYM ZAJEŹDZIE

SKŁAD GŁÓWNY:
„DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ" S. A.
W WARSZAWIE

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001015262767

*Druk tomiku „Raj w nudnym zajeździe" ukończono dnia 30 czerwca 1932 roku w Drukarni Uniwersalnej Stefana Zbika i Romana Beera w Krakowie przy ulicy Karmelickiej Nr. 10, pod zarządem Władysława Zbika, w ilości 300 egzemplarzy. Składał i łamał Franciszek Strózik, tłoczył Henryk Lustgarten i Helena Lelkowa. Układ graficzny Zygmunta Kinastowskiego.*

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
I 1.240.239
A

**Bibljoteki „Dwutygodnika Literackiego" T. 4**

1979 k 232/51

## MŁODOŚĆ

Wspomnienie to — jak migdał gorzki w słodkiem cieście,
jak depesza z dalekiej co każe podróży
wracać do maleńkiego smutku w małem mieście —
jest fatalną przestrogą, co rychłą śmierć wróży.

Możnaby je wspominać zdaleka, zwysoka,
gdy powrócić do niego nie byłoby można;
jak cacko z porcelany oglądać zostrożna
i łez nawet wydusić dużych parę z oka.

Wszystkim rzeczom na świecie brak jest perspektywy.
To, co cię dzisiaj boli, jutro jest rozkoszą.
Ścigaj sen, gdy go oczy rozwarte przepłoszą,
i na ostatku pytaj: czy jestem szczęśliwy?

Jak się umarłych dobrze i miło wspomina,
tak je w trumience z białych ułożywszy kwiatów,
przyrównać... do „jednego z najpiękniejszych światów",
westchnąć: zmarło; pocieszyć się: nie nasza wina!

Lecz nie można się przecież zbliżać do ogniska.
Któżby chciał zdrową rękę, jak Mucjusz Scaevola,
kłaść w ogień! Zbyt straszliwa to jest aureola
piękności, która pali i zabija!... Zbliska!

I tylko płoszyć można rzeczywistość nudną,
płynąc przekwitłych marzeń skołataną tratwą,
bo — wyznajmy — wspomnieniem tem ż y ć to zbyt trudno,
a u m r z e ć — bądźmy dumni — byłoby zbyt łatwo.

I tylko oczy czasem obrócić zdziwione,
jakgdyby nas ktoś nagle oblał wrzącą wodą,
z przestrachem i ze smutkiem spoglądać w tę stronę,
gdzie ktoś niebacznie wyrzekł dziwne słowo: młodość.

## NIEDOSKONAŁOŚĆ KTO GANI...

Niedoskonałość kto gani, mędrzec mu radzi: przestań.
Spójrz, jacy doskonali wkoło przechodzą ludzie!
Południe wnet ci zejdzie w próżnym, zmyślonym trudzie —
jakbyś nie wiedział o tem — czeka cię wczas i sjesta.

Ktoś świat za ciebie stworzył. Stworzył napewno lepiej.
Błądzi, kto cośkolwiek poprawia, chce wszystko wiedzieć!
Nie lepiej z chłodnem słońcem w cichym ogrodzie siedzieć
i pić najczystszą wodę? Nie chłodzi, ani krzepi.

Ot, tam się w pióropuszach mgieł zwidzi nasza chatka,
bliższy doskonałości żywot, przeto że bardziej prosty.
Patrz, tam osobno lilje, osobno rosną osty!
Poco się śpieszyć? Chwileczkę poczekaj. Do ostatka!

Tu już jesteśmy jednacy: dzieci o starczych twarzach.
Oczy kryjące głębię, a usta mamy i serca
zbyt mądre, aby wierzyć, że ktoś nas codzień uśmierca,
że ktoś nam świat oddala, jak światło na witrażach.

Wszystko jest zawsze tosamo. Od wschodu do schodu słońca.
Nie może być inaczej. Musiałby się ktoś dziwić.
A wszyscy powinni przecież być prości i szczęśliwi.
Największy smutek: wierzyć w zmianę i pragnąć końca.

Ty, co chcesz świat poprawiać, tak męczyć się, tak płonąć,
spójrz, jacy doskonali ludzie i jacy prości!
Niema bo nienawiści już, niema i miłości.
Jest doskonałość w umiarze, w niechęci jest nieskończoność!

## OGRÓD RAJSKI

Nie tędy! Przez te sady jest droga do raju,
gdzie mściwy anioł z mieczem stoi w złotej bramie...
Nie tędy, ach, nie tędy, wygnany Adamie:
na drzewach Bóg się rozpiął, jak krwiożerczy pająk.

Nie patrz! Kuszą te jabłka, jak piersi kobiece,
i najsłodsza trucizna wre w winnych jagodach;
bulgoce gdzieś usłużnie przepaścista woda,
księżyc srebrzyste sieci zastawił na rzece.

Nie wierzysz — i nikt z ludzi uwierzyć nie zdoła:
niema sadu, gdzie nocą chór cherubów śpiewa
modlitwy. To nie drzewa na wietrze, nie drzewa!
I nie mnie teraz widzisz, nie mnie — lecz anioła.

Wyciągasz żądne ramię za jędrnym owocem,
co, jak naga kobieta, wzrok lubieżnie pieści. —
O, żmudny niewolniku potęgi niewieściej,
nie zrywaj w sadach jabłek zdradzieckich po nocy!

Opamiętaj się w żądzy, umknij namiętności,
odwróć łakome oczy i zataj znużenie,
gdyś wszedł w sad! Na twe jedno łaknące spojrzenie
czyhają stróże niebios: anioły ciemności.

## LECZ MÓJ ŚWIAT...

Źle jest młodość zaczynać od wspomnień,
miłość, zanim się kochało, wyznać,
świat zapraszać, co nie przyszedł do mnie,
gdy odeszła ojczyzna.

Wiem to. Wiele rzeczy wiem daremnie.
Jestem jak ptak, co bez skrzydeł chce latać.
Znam świat, który nie jest we mnie,
nie znam mojego świata.

Tyle Twoich uśmiechów umiem na pamięć,
a żadnego nie zdjąłem z ust ustami.
Kiedy oczyma mnie całujesz, wiem: nie kłamiesz, —
ranisz.

Jeśli odchodzisz, słowa zabierając co łaskawsze,
nie mogę Cię zaklinać:
nie odchodź, zbaw!... Myślę: na zawsze.
„Ty mnie zawsze będziesz... wspominać".

Ach, usta jakie masz, piersi? Jaka jesteś: biała, różowa? — Nie wiem.
We śnie nawet to się urywa i mgli.
...Gdzież była moja rozpacz, gdyś płonęła w gniewie?
Gdyś płakała, gdzież były moje łzy?

Wszystko trzeba, jak dłoń w dłoni złożyć.
Trzeba Ciebie mieć, jak ojczyznę, pocałunkiem na ustach.
W pocałunku jest wiele miłości, więcej może,
niźli w ostatniem: kocham, gdy dłoń zamyka się pusta.

Lecz mój świat — to najgłębsze pragnienie
nieba, którego nie będzie nigdy, aby je zobaczyć w Tobie.
Dary Twoje są: cienie
w oczach i pustka, co mi dłonie wypełniła obie.

## POJEDNANIE ZE ŚWIATEM

Zgadzam się. Na wszystko się zgadzam.
Wszystko mnie boli i cieszy.
Ogromna jest twoja władza.
W każdej rzeczy.

A że przychodzę pobity,
zanim ty mogłeś zwyciężyć,
bądź dla mnie jak jadowitych
syk węży.

Bądź dla mnie jak kromka chleba,
odjęta głodnym ustom.
Bądź zły. Tak trzeba.
Choć w tem mi ustąp.

Bym z tobą się pojednawszy,
jak czuła jemioła wrósł w twą
zimną niezmienność. Bym zawsze
mógł, mówiąc: pojednanie, — myśleć tajemnie: oszustwo.

## WIERZ W ŻYCIE

Wszystkie myśli są wielkie i smutne, jak bóstwa
bez wyznawców. Ich łopot ogromny nad światem
uskrzydla twoje ręce, gdy znikł: jak bogaty
jesteś, wiesz, skoroś pojął cierpką szczęśliwość ubóstwa.

Wszystko to, co stracone, czego w tobie niema,
jest wielkie. Każda wielkość jest zawsze stracona.
Wszelka myśl, nim się w tobie narodzi, już skona,
nim przemówi twym głosem, już jest chłodna, niema.

Wierz w życie, co przez ciebie niespełnione płynie,
a gdy będziesz umierał — jak można najmłodziej —
to, zamykając oczy, pomyśl w tej godzinie,
jakie byłoby wielkie, — gdybyś się był nie rodził!



BIBLIOTEKA NARODOWA BN

## PIERSI WIELEBNEJ KRYSTYNY *)

Wizja rzeczy stworzonej cudem,
przez cud słodki na wieczność żywej, —
piersi: ciężar rozkoszy z trudem
wydźwignięty w niebo prawdziwe.

Przez soczystą ramienia gałąź,
rosą zdrowia srebrnie opryśniętą,
kołysane, jak szczęście, pomału, —
piersi drobne, nagie, wniebowzięte.

Ponad niemi — nad krzakiem róży —
lata święty gołąb błękitu,
dziób tajemnie w kwiecie zanurzył,
oczy przymknął ciemne i śpi tu,

gdzie się mleko w pąkach poczyna,
gdzie płyn gęsty pod skórą pluska,
aby mogła, pragnąc, Krystyna
swoje głodne napoić usta.

Głód się w ciele, niby łuk, napnie,
głód Krystynę wciąż będzie gnębił:
mówi Panu, że bardzo łaknie, —
— Całuj, całuj, boski gołębiu! —

Mówi Panu Krystyna: „głodnam;
oto nie mam nic, oprócz mleka,
co się w piersiach uźródla, miodne,
i na dziecię napróżno czeka.

Niechże będę dzieckiem i matką,
niechże siebie nakarmię sobą,
niech napoję mych warg opłatki,
abym syta stanęła przed Tobą".

— Całuj piersi, gołębiu boski,
całuj piersi nieżądne pieszczoty,
żeby mogła w pocałunku prostym
pić Krystyna swoje mleko złote!

## PRZESŁANIE

Żyć — zamało! Cierpieć — któż może?
Dość na ziemi wina i chleba.
Tylko oczu już nie otworzę
w śmierć wiodącą prosto do nieba.

Tylko dawno już nie znam głodu,
boleść zgasła, jak róża w twarzy.
— Tobie śpiewam z cieniów ogrodu,
w którym nigdy cud się nie zdarzy.

*) Krystyna, przez Kościół nazwana Wielebną, a znana także z przydomkiem: Dziwna, żyła — jak podaje za Jakóbem z Witryaku ks. Piotr Skarga — mniejwięcej w połowie XIII w. we Flandrji. Życie Jej obfitowało w wiele cudów, z których jeden stał się tematem niniejszego wiersza. Było tak: — przywrócona cudownie do życia, aby — jak mówiła — cierpieniami powtórnego żywota odkupywać dusze cierpiące w czyśćcu, uważana przez ludzi za „opętaną", schroniła się na puszczę. Tam przebywała jakiś czas, jak ptak mieszkając po drzewach, a „gdy głód zaczął jej dokuczać, dziewicze jej piersi wydawały rodzaj mleka, którem się karmiła".

## KOŚCIÓŁ

Jak w teatrze. Czekamy, gryząc gładkie palce,
tłumiąc serc niecierpliwych zdyszane okrzyki:
kto ulegnie, w tej świetnie udawanej walce,
katastrofie wspaniałej, efektownej, dzikiej?

Czarny ksiądz pod ogromnym talerzem ze złota,
co jednako się świecić i urągać zdaje,
obce nam słowa modlitw ponad głowy miota,
błogosławiąc, przeklina. Ale on udaje.

Te jego nieprzytomne, ogłupiałe oczy,
tłuste, spocone ręce, gwałcące sakrament,
które w święconej wodzie świętokradzko moczy,
aby przeżegnać dzwonków spazmatyczny lament.

Bladość policzków jego obrzękłych niezdrowa,
gruby brzuch, na schorzałych kołysany nogach,
ileż dla nas rozkoszy ironicznej chowa:
o, ten to się napewno nie ulęknie Boga,

ten zwycięży, zwyciężył już!... Lecz on inaczej
zrozumiał swoją rolę. Obróciwszy do nas
twarz wielką, niby księżyc, zatroskaną, — płacze,
a płacz mu konwulsyjnie wykręca ramiona.

No, trudno, niech popłacze. W tej chwili przestanie.
Wstyd mu, że się tak kiepsko wyuczył swej roli!
Co, wciąż jeszcze? Już męczy to zjadliwe łkanie.
Stanowczo przeszarżował. Przecież to już — boli!

Nagła dłoń strachu szarpnie za zjeżone włosy,
szorstki spazm przerażenia nudne przedrze serca.
W tłumie, w dzikiej ucieczce: — dosyć, dosyć, dosyć!!
Już oczy tego widzieć, uszy słyszeć nie chcą!!

Przekląć tych, co nas tutaj na teatr przywiedli!
Nie przyjdziemy już nigdy do tego kościoła!
Kurtynę ciemną niechaj na grzech tej komedji
zarzuci autor! Autor — zgraja widzów woła.

## APOSTATA

Skłamią Cię wszystkie Kościoły złotemi ustami kapłanów —
ja jeden noszę w sercu niezabliźnioną ranę.

Tylko ja dźwigam Cię w sobie, jak gorzką, okrutną wiedzę.
Łakną Twojego imienia. Ty wiesz: nie mogę powiedzieć!

Wiosna się wkoło rozniesie, jak echo, pachnące majem,
i, jak dziewczyna zazdrosna, Ciebie — grzech pierwszy — tai.

Wiosna się wkoło rozśpiewa, jak słońcem Zielone Święta...
Czy zapomniała o Tobie? Może już nie chce pamiętać?!

Wytoczy krew z bujnych jodeł topór ostry i skory,
ale Ty nie wyciekniesz żywicą przez wilgną, pulchną korę.

Nie zdradzi Cię wiosna ni lato, woda ni pole ni drzewa.
I ja się Tobie nie modlę, ani o Tobie śpiewam.

Tylko żar spalił mi oczy, przez pierś gorączką przewiał.
Tkwisz w mojem pustem łonie: gwóźdź rozżarzony w trzewiach!

## O BOGU

Nie tak pisać, by Bóg z wiersza każdego sterczał,
niby potężny głaz z łona wzburzonych wód.
Trzeba surowy kruszec dnia przetapiać w tyglu serca,
obedrzeć życie, jak brzozę, z srebrzystej kory złud.

A gdy się już wszystko stanie — i nic się na jawie nie ziści,
kiedy znużony padniesz, szepnąwszy: wszystko i nic, —
zaprawdę, zarówno jedno: z miłości, czy z nienawiści
On, spokój doskonały w kamień zastygłych lic.

## LUCIFER

Niema mnie — i już nigdy nikt mnie nie zobaczy
utrwalonego w łasce, jak posąg w natchnieniu.
Teraz wszystko poruszy się, popłynie, zmieni;
to, co jest, zniknie, spłynie: odnowa, inaczej!

Teraz będę uciekał i gonił, ścigany,
odchodził i powracał, znajdował i tracił,
bo niema, czego stracić nie mogę! W swej stracie
jestem jak sen, z dna nocy cieniem wypłókany.

Ach, noc!... Skoro się wwikłam w płomienie jej włosów,
marzyć się będą nagie, wypukłe kobiety:
gwiazdy. Jak kot z magicznym ostrołukiem grzbietu
opadnę w mrok rozkoszy. Znów: w piekło — z niebiosów!

W dzień wlokę się, jak słabe, opętane zwierzę,
z goryczą liżąc słodki miód słońca w kałużach.
Na krzyżu dnia rozbity, zmartwychwstanę w burzach,
co powalą kościoły w proch, połamią wieże

waszych natchnień! Za Bogiem, co przedemną wszędzie
jest, w pościgu przez ziemie gnam, czyśćce, przez piekła —
i wciąż zostaję w tyle. Gryzie mię myśl wściekła,
że On osiądzie w niebie, — a mnie tam nie będzie!

## WSPOMINANIE NORWIDA

„Syn minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku"
*NORWID*

Mdłe są wszystkie nadzieje, zwycięstwa — nietrwałe,
nawet śmierć nie podwyższa. Jak Ciebie i nas
pogrzebano na polu zwycięstwa bez chwały,
aby przyrzucił ślady nasze trawą czas.

Jak na płycie grobowca, oparty milczeniem
na Twej książce, o dziadu, wyczuwam tę dłoń,
która uściskiem dławi, jak cierniowy wieniec,
i do nieba podrywa okrwawioną skroń.

Dłoń, co niesprawiedliwie i szorstko za włosy
targa nas, aby bólu krzyk wyszarpać z gardła.
...Umieramy nie z gniewu, — z miłości i z mocy
tej dobroci, co trądem nam serca przeżarła.

Tyś w dłoń tę złożył swoją obumarłą rękę,
jak przysięgę. Wielkiemi myślałeś myślami,
że serce nie jest święte, kiedy w bólu — pęka,
i że Bóg nie jest wielki, gdy Go niema z nami.

Wiem, że jesteś opoką, ale ja kościołów
mocno na niej rosnących nie będę budował.
Ziemia taksamo cięży, jak niebo, — jak ołów.
Historji, historji! Niechże się staną Twe słowa.

Pod cieniem Twym: pod niebem obarczoną gruszą,
idącą ugorami sam na sam z wichurą,
można długo wędrować, — aż się siły skruszą,
aż upadnę, aż znikniesz w oddali, jak chmura.

O, dziadu! Dziś nam wszystkie legendy złamano,
jak miecze nad głowami! I ci, co z nas będą
róść, jak drzewa z mogiły w Majową Wielkanoc,
będą karmić się chlebem, ale nie legendą.

Niech serca nasze giną, niech próchnieją kości,
ale niech nas wichr śmierci, jak ogień, oczyści,
bo, choć z słowami w ustach mrzemy nienawiści,
każdy dzień naszej śmierci jest klęską — miłości.

## ELEGJA

Na śmierć Władysława Orkana.

Nic łatwiejszego od śmierci. Poprostu się odchodzi,
życie, jak kraj niemiły, z westchnieniem ulgi rzuca.
Tylko się krwią zachłysną rozdygotane płuca.
I w ciemną otchłań, jak kamień... I koła, koła na wodzie.

A potem my za trumną ze źle tłumionym wrzaskiem,
co w piersiach się, jak morze pod piorunami, wichrzy.
A potem wielkie szlochy. I wdowi płacz. Najcichszy.
A potem czas się liczy, co równa groby piaskiem.

I tak jest może dobrze, może tak jest najlepiej.
W milczeniu zamyślone o grób oprzemy czoła.
Nic nas stąd nie odciągnie, nikt stąd już nie odwoła:
w głaźną wrośniemy glebę, co nas, jak śmierć, pokrzepi.

Kto, kiedy, patrząc na nas, wyczyta z martwych twarzy,
ów ból, co się, jak wicher czerwony, w trzewiach kłębi,
kto, na grób obcy idąc, do własnej zejdzie głębi,
gdzie, niby kryształ w skale, moc się w nim żywa żarzy?

Najlepiej w samotności żyć, w ciszy i żałobie,
codzień w śmierć własną patrząc, wierzyć w nią coraz bardziej,
wiedzieć, że na grób przyjdą ludzie najprostsi i twardzi
i nie uwierzą śmierci — i ziarna zasieją na grobie.

I znów na śmierć patrzymy. Nagle starzy i młodzi.
Nagle wielcy i mali: ziarna niesione na wiatrach.
A cisza jest nad nami ogromna, jak noc w Tatrach.
Najłatwiej jest umierać, jeśli się tak odchodzi!

## MATKA

Jak jemioła wzrastałem na drzewie Twej duszy,
z białych dłoni dzieciństwa wysnuwszy rozkosze.
W sercu Twem dziś się głazem ogromnym panoszę,
którego wichr ni burza z siedliska nie ruszy.

I czyto będę — równie jak kiedyś — niewinny, —
gdy z mych modłów ku niebu płynął dym ofiarny,
czyli też niespodziany, nowy, obcy, inny,
krwawiący się szaleństwem, ponury i czarny;

czy się płaczem pokory rozłożę na grobie
buntowniczych zamysłów, albo zginę dumnie,
jak sęp w błyskawic miotach, — w każdej ujrzę dobie
Twe jasne oczy, przez świat obrócone ku mnie.

## POPRZEZ NOC

Świat się zamknął w kryształowej bani,
kastanjety szklanych gwiazd grzechocą,
w próg milczącej wstępujem otchłani,
którą — między sobą — zwiemy nocą.

Ciągniesz myśli z rozmarzonej głowy,
jak ze studni zimnej wody stągiew,
i rozbłyskasz uśmiechem i słowem,
jak na maszcie srebrzysta chorągiew!

Mięką stopą depcesz, nieświadomy,
noc, płynącą chwiejną falą cienia.
Może boisz się tej nocy stromej,
która w oczach staje się i zmienia?

Wonną wargą wdychasz, nieświadomy,
noc, drgającą, jak płomień na wietrze,
rozpryśniętą w kłujące atomy
mrozu, który zabarwia powietrze,

prósząc ciemnym odblaskiem indyga.
Nad błękitną, śnieżnych pól polewą
chodzi księżyc i marzy i śpiewa
i sforami białych psów nas ściga.

To znów budzi ostre dreszcze grozy,
kiedy cieni bawiąc się igraszką,
jawiąc się nam nagą, trupią czaszką,
spluwa na świat mit metamorfozy.

I, niepewni, w wyobraźni skorej
spoglądamy dokoła z wahaniem,
czy za kurów gdzieś dalekiem pianiem
nie przemienim się sami w upiory?

I już trwoga w piersi nie zamiera,
że błądzimy w sztywnej światła glorji
czarni, wielcy rycerze upiorni,
jak ze sztychu wyjęci Dürera.

## TĘCZA

Wysoko, na gwiazdach siedzieli
niebiescy i złoci anieli.

Przez chmur spłowiały aksamit
łukami wionęli, skrzydłami.

Na wiatr rozrzucili włosy:
stubarwne kwiaty i kłosy.

Przez niebo, na pół rozdarte,
wstęgami pływają wiatru.

W słonecznym żeglując pyle,
jak złote się puszą motyle.

I, przy tej niebieskiej zabawie,
już nie wiem: anioły, czy pawie?

## JESIEŃ

Złota, brzemienna kobieta, objąwszy rudy pień drzewa,
obnaża owoce piersi, gnie się w rozkoszy, omdlewa.

Wiatr ją obchodzi dokoła, brzęcząc, jak ciężka mucha,
w piersi łagodne całuje, w usta gorące dmucha.

Szelestem pieści ją liści, które z drzew na to zrywa.
Kobieta jest bardzo znużona, kobieta jest bardzo szczęśliwa.

Jej nieprzytomne dłonie, szukając szczęścia, zerwały
ostatni zielony listek: mój smutek niedojrzały.

* * *

O, niech zakocha się we mnie to drzewo,
które zakwita jesienią!
Kiedy ogrody są, jak wizje kobiet
owocnych, dźwigających w kruchych łonach
rumiany ciężar życia;
kiedy sny są, jak zdrowe, czerwone ogrody
żądz, wzrastających pośpiesznie i dziko,
niby gorące, egzotyczne kwiaty;
kiedy muzyka nerwów, napiętych, jak struny,
jest płomienistym, jasno gorzejącym światem,
a świat —
zmysłów skrzydlatą
muzyką;
kiedy wieczorem z nieba: pieca, wrzącej łuny
spada, jak rozżarzony do białości pieniądz,
księżyc, i syczy po wyschniętych liściach;
to, które teraz błękitnie i srebrnie,
najnierozumniej i najniepotrzebniej
na pulsujących unosi ramionach
kwiat, —
niech się we mnie zakocha to drzewo!

* * *

Noc cię, zdala idąca, zalewa,
ginącego dla nieba w męce nierozumnej.
Każda myśl teraz będzie — wiedz dobrze — o niebie:
gwiazdy zdarzą się blisko,
jakby na wzbierającem zapachami drzewie,
podobne błyszczącym, jak robaczki, listkom.
Podejść, wedrzeć się szybkim, zwycięskim oddechem
w woń drzewa, zebrać w oczy, jak w cieniste kosze,
światło gwiazd, gwiazd nie tknąwszy, ani drzewa;
z dojrzałym wiedzy uśmiechem
spłynąć po trawach, po drżących ich korzonkach spłynąć
w głąb ziemi. Tam w ogromnej zamknąć się rozkoszy,
jak w trumnie, —
i już więcej ani żyć, ni ginąć.

## PRZEMIANY

Drzewa
zamieniłem na myśli
i słucham, jak we mnie rosną:
tu szumi zielona ulewa
dębów, tu brzoza biało w ciemnych liściach płonie,
tu wiąz, stokrotnie zgięty nad omdlałą sosną,
która w umarłych gałęzi koronie
dźwiga, jak czarne gwiazdy, posępne gniazda wronie...
Słucham, uniósłszy zmysłami ciemny czar obrazów,
myśli, których nie zmieni
dziki wzrost wiosny, ani łabędzi śpiew jesieni.
Sięgam w nie, określone, jak horyzontem, słowem,
jakbym w swe serce sięgał po kształty z głazów,
jakbym!... Bo zamykam w trudną, nieruchomą mowę
płynący w rzeczach szum, płacz, słabość i potęgę;
bo mój dąb, brzoza, sosna moja
są tylko zamierzonym gestem
w to, co rośnie zwabione, znęcone, jak motyl,
we mnie,
czem ja nie byłem, nie będę, nie jestem...

Tajemnie umiera i rodzi się tajemnie
wszystko, co mnie przepływa, barwi, jak wodę światło złote.
co ustalam, niby martwy czas
w pachnących jeszcze pniaków słojach;
czego nie urodziłem, czego pięknej, potrzebnej życiu, śmierci
nie jestem przyczyną, zawsze kształtnym skutkiem...
Tu jest niemoc, ja wiem, obrócony plecami do wiosny;
niemoc, złota niemoc słów, których nie można zmienić w drzewa,
jak zmieniło się barwne kwiaty w przeźroczyste myśli,
świat żywy, nieskończony w okrągłe wyrazy,
Boga niewidzialnego — w siebie.
Tą niemocą okrył nas świat, w niejasnem urodzony niebie,
gęstemi obłokami słonecznych gazów.
Ja wiem: kwiat skrzepnie, jak mucha w bursztynie, w słowie,
drzewo w gotyckiej myśli, skamieniałe na wieki,
ale spróbujcie zmienić słowa doskonałość,
myśli trwanie bezwieczne — w kwiaty, drzewa, w świat,
żywy, ułomny, jednodniowy.
Powierzcie głębokie tajemnice mowie,
wydrzyjcie korzenie wieczności z krzemiennych tkanek mowy,
spróbujcie!

## ZNÓJ POŁUDNIA

Znojem złotych motyli, jak kwitnącym plastrem,
rozłożyła się hojnie na szumiącej łące
pogoda, a w ogrodzie, ciągle się za słońcem
obracając, zmęczone kłonią głowy astry.

Jeden tylko słonecznik, jak pajac na sznurku,
kręci się dookoła i nic nie wie o tem,
że, wyrósłszy w czeredzie rubasznych ogórków,
nie wystrzeli po za płot, choć rośnie pod płotem.

Rozłożą się w zagony tłuste, żyzne pola,
przez udeptaną ścieżkę ziarno się przetoczy
i niepotrzebnem sypnie kwieciem, jak topola,
co rośnie gdzieś daleko w cienistem uboczu.

I wszystko jest tak mądre i takie skończone,
że niema czego szukać, niema o co pytać.
Tylko — czemu wystawia swe oczy zdziwione
kąkol z łanu kąkoli, — a nie z łanu żyta?

## KWIATY

Siostrze

Gorzka lilja, wplątana w tłum wrzaskliwych maków,
przebiegających dziko, wśród spokojnych grządek,
w zimne niebo się wspina, jak czysty śpiew ptaków,
co sławią nieznajomy ich sercom porządek.

W zorzy groźnej, jak w rzece krwi wrzącej, wzburzonej,
co niezwalczoną falą w cichy ogród spłynie,
piękna róża, w ostatnim oddechu swych woni,
uśmiechając się prosto, purpurowo ginie.

Zrezygnowany mędrzec, mlecz, trwoniący ziarna
na niewiadome losy, jak i wiotki Chrystus
ogrodu — powój, w męce wytrwania ofiarnej,
giną taksamo mądrze i taksamo czysto.

Nie wiedzą poco zmierzch je, gwiazdy życia, gasi,
kwiaty, tak jak swych mocy krwawych nieświadome,
nie znają celu słońca, co je barwą krasi,
aby potem upałem zetrzeć w kruchą słomę.

Nie wiedzą naco płodne puchy na wiatr pylą,
przecież w przemożnej żądzy malują swe wargi,
by miłośnie się oddać rozpustnym motylom,
a jesieniami konać pogodnie, bez skargi.

Jest w nich to, co je gubi, i to, co je wznosi.
I nie mogą żyć smutniej, ani żyć szczęśliwiej.
— Na śmierć róży płonącej lilja, niby w rosie,
chłodna, spogląda. Żadną z nich dwu się nie dziwi.

## TRZEBYCZKA

Z łąki rzeczka, jak głos ujęty w śpiew,
daleko płynie.
Za łąką dochodzi horyzontu las.
Lasem przelewa się w niebo, niebem nieujęta,
tęsknota.
Niebem idą na pełnych, jak płuca oddechu, żaglach
zwinne fregaty obłoków.

To — morze, rozkołysane dzieciństwem w nadrzecznej leszczynie,
niesie nad sobą długie pożegnania mew,
opłakujących smukłe, osnute dymem odjazdu, okręty;
to — wiatr, musujący w przestworzu, jak gaz,
do szalonej podróży przynagla.

Widzę, głęboko widzę wyraźne ślady mych kroków
na twym brzegu, Trzebyczko!... Tylko ty się zmieniasz
dzisiaj w rzekę, płynącą nie z łąki, — z marzenią,
które było ze złotą.

## W KRAJOBRAZIE

1.

Struny światła drgające, na których gra wiatr!
O, muzyki dalekie, muzyki poruszeń!
Szeroki przestworze, wypełniony chmurą
gwaru,
przetkaną, jak złotem, drobnem brzmieniem muszek!
Oto kształty w blasku topniejących widzeń
są jak skrzypce z pogodnie gasnącej sonaty,
która
spływa treściwie w rozmiarów
śpiew, idący wolno wgórę,
jak srebrna nitka dymu z nad ukrytej chaty.

Nisko, widzę,
strumień, dziecięcy pastuszek,
po łące pełza od kwiatu do kwiatu
aż tam, gdzie łąka spada zieloną kaskadą
w ciemne urwisko — tam brzozy
ukryją jego śmierć w liściastym cieniu...

2.
Okrężną drogą
nadjedzie ku nam drabiniastym wozem
gwar wsi, wrosłej jemiołą w pełne miodu sady.
Pojedziemy!... Okręci się nieraz koło horyzontu,
nim spoconych koników opryskani rżeniem,
przystaniemy pode wsią na piasczystych rozstajach,
by wiecznemu, witając ludzi, pokłonić się Bogu.
Uśmiechnie się jeszcze jasno droga, wiodąc między płoty,
i pod malowane po spoczynek prowadząc nas dachy.
A potem
już zachód.
Czerwone słońce niosą na grzbietach pracowite woły,
wracając w podziemia gnojem wymoszczonych obór.
Za niemi idzie mrok. Gwiazdy rozpina.
Psy szczekaniem witają
nowy księżyc. W chacie wszczyna
chór nierównych głosów pacierz niewesoły:
„...od głodu..."

## POTOK

Tu śmierci szukać! Położyć na wodzie ręce obie,
jak dwie zielone gałęzie, które wiatr zerwał w lesie,
i patrzeć, gdy je fala, kołysząc się, podniesie,
jak rozkwitają pośpiesznie w tym płynnym, szumiącym grobie.

Tu stać, dopóki wrzący nurt stóp nie podminuje,
dopóki u nóg wrzawy rozpryskiem nie wybuchnie!
Jeszcze łza jedna, niby brylant, płonący w próchnie,
jeszcze krok jeden tylko, którego się już nie czuje —

i już kamienny uścisk śliskiego dna i wrzasku
w uszach, jak mrowia!... I wodą, łbem tłukąc o kamienie,
leci struchlały pień ciała... Na brzegu wilgotnym cieniem
jest cała nieśmiertelność, pisanym wodą na piasku.

## ŚMIERĆ NAD MORZEM

Obok słońca się w piasku gorącym położę,
szeroko rzucę ręce, na krzyż się rozpłaszczę,
zaczekam. Przyjdzie zdala niewiadome morze
i wielkim, szafirowym przykryje mnie płaszczem.

Jakimż wydam się małym, śmiesznym i znikomym:
kamień na dnie potoku, który fala toczy,
topielec pod dławiącym, potwornym ogromem
oceanu, co piaskiem przysypie mi oczy.

Opadnę, niby żagiel zerwany z okrętu,
do dna dotrę, w dno samo, jak robak się wwiercę!
Z najgłębszego podniesie mnie fala odmętu
najwyższą — i uderzy, niby klątwa, w sercę.

## SPIS WIERSZY


Młodość . . . . . 5
Niedoskonałość kto gani . . . . . 7
Ogród rajski . . . . . 9
Lecz mój świat . . . . . 10
Pojednanie ze światem . . . . . 12
Wierz w życie . . . . . 13
Piersi Wielebnej Krystyny . . . . . 14
Kościół . . . . . 17
Apostata . . . . . 19
O Bogu . . . . . 20
Lucifer . . . . . 21
Wspominanie Norwida . . . . . 22
Elegja . . . . . 24
Matka . . . . . 26
Poprzez noc . . . . . 27
Tęcza . . . . . 29
Jesień . . . . . 30
* * * . . . . . 31
* * * . . . . . 32
Przemiany . . . . . 33
Znój południa . . . . . 35
Kwiaty . . . . . 36
Trzebyczka . . . . . 38
W krajobrazie . . . . . 39
Potok . . . . . 41
Śmierć nad morzem . . . . . 42



BIBLIOTEKA NARODOWA BN

J. Mitkowski
6.IV.79
-80zł